

# **SZANTOPIERZ I ARCHANIOŁ**



ANNA BORKOWSKA

# SZANTOPIERZ I ARCHANIÓŁ

*Rysunki*  
Anna Borkowska



TYNIEC  
WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

*Projekt okładki:*  
Jacek Zelek

*Imprimi potest:* Opactwo Benedyktynów  
L.dz. 103/2018, Tyniec, dnia 30.04.2018  
† o. Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie drugie – Kraków 2018

ISBN 978-83-7354-794-0

© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów  
ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków  
tel. +48 (12) 688-52-90, tel./fax: +48 (12) 688-52-95  
e-mail: [wydawnictwo@tyniec.com.pl](mailto:wydawnictwo@tyniec.com.pl)  
[zamowienia@tyniec.com.pl](mailto:zamowienia@tyniec.com.pl)  
[www.tyniec.com.pl](http://www.tyniec.com.pl)

*Druk i oprawa:*  
Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów  
[druk@tyniec.com.pl](mailto:druk@tyniec.com.pl)

Kto by chciał doszukiwać się w tej książce konkretnych miejsc i ludzi, temu nic nie będzie pasowało, a najmniej – chronologia wydarzeń. Na przykład figury w niszach bram cmentarnych do dzisiaj pozostają w sferze planów; w miejscu dawnego sklepu (z łączką na tyłach) jest już od kilku lat dodatkowa sala szkolna, a za nią nie ma i nigdy nie było żadnego gospodarstwa, tylko pole; może Albert jeszcze się nie pobudował? Najlepiej czytać to po prostu jako powieść, i to fantastyczną. Co natomiast w niej jest autentyczne, to nauki głoszone przez Wspólnotę Ostatniego Ostrzeżenia i przez Egzorcystę; wszystko to, włącznie z historią czerwonej krowy, rzeczywiście padło z ambony, i to niedawno, prosto w moje uszy. Na takich też naukach oparte są konferencje kuzyna Daj-Dwa. Natomiast felietony Smętka wzorowane są na tekstach dziennikarskich, nie kaznodziejskich.

**URODZIŁ** się – jak my wszyscy – pewnego czerwcowego poranka, gdy słońce dobrze już przygrzało dachówki. Zapiszczał, ale wśród pisku kilkudziesięciu nowonarodzonych jego głos był słyszalny tylko dla matki. Ta westchnęła z ulgą i ogonem podtrzymała malca, gdy przez chwilę bezradnie skrobał miękkimi jeszcze pazurkami po krokwi. Zaczepił – i pierwszy strach, płynący z nagłego znalezienia się w pustej przestrzeni, ustąpił miejsca pierwszemu przyływowi poczucia bezpieczeństwa. Chłód... tak, ale nie tak znów ostry, można wytrzymać. Brak ścian dookoła; ale na szczęście malec był jeszcze ślepy i nie widział, jak głęboko mógłby spaść, gdyby nie krokiew. Ciepłe, miękkie futro matki: radość. I już trafił na źródło swego pożywienia: do bezzębnego, miękkiego pyszczka popłynęło mleko, wypełniając malca nieznaną dotąd, nową rozkoszą. Jak każdego z nas.

Potem język matki na jego gładkiej, jeszcze bezwłosej skórze. Matka powiedziała:

– Mój czarny źuczek.

I takie było jego pierwsze imię: Żuczek.

Nie wiedział jeszcze, że jest południe, ale nieco później odczuł zmierzch, bo zrobiło się chłodniej. Wtulił się w futro matki, ale ona odsunęła się i nagle znikła. Żuczek zapiszczał, ale znów wszędzie dookoła działo się to samo: matki leciały na łowy, a cała dzieciarnia zwisała z krokwi jak szmatki, ucząc się pierwszej lekcji naszego rodu, która brzmi: Trzymaj się mocno.

Dwoje lub troje, jak zwykle, nie zdało tego egzaminu. Kot, który nie mógłby do nich dotrzeć na górę, sprzątnął je na długo przed powrotem matek, choć jego zdaniem taki kąsek, niewiele większy od chrabąszcza, nie zasługiwał właściwie na uwagę. Kot zjadł jednak wszystko, co znalazł, po prostu dla porządku i dla zaznaczenia, kto tu jest panem. Dorosłych nie zjadłby, bo nie lubi naszego zapachu, tylko by zabił, gdyby złapał żywe, także dla porządku; ale małe pozjadał. Ani Żuczek, ani cała reszta małych nic o tym oczywiście nie wiedziały.

Płynęły krótkie godziny nocy: gdyby Żuczek umiał już wtedy połapać się w swoich wrażeniach, stwierdziłby ze zdziwieniem, że jednak nie jest mu zimno. Trochę ciepła trzymały wciąż jeszcze dachówki, ale przede wszystkim nasze

plemię nie potrzebuje go więcej, niż ma normalnie wokół siebie. Na pół odrętwiały, nie czując nawet zacisku własnych pazurków na drewnie, Żuczek wpłynął sennie w drugą lekcję naszego rodu, która brzmi: Zjednocz się z wiatrem.

Wiatru, ściśle biorąc, nie było wiele: chwilami lekki powiew wpływał przez dymnik i uciekał przez otwarte drzwi strychu. Co jakiś czas to tchnienie docierało do Żuczka, drażniąc lekko gruczoły na jego pyszczku, o których przeznaczeniu jeszcze nie wiedział. Któryś już rok gospodarz przychodził wiosną, przystawiał od podwórka drabinę do drzwi strychu, włąził, otwierał je i mówił:

– Może się tu zmieści reszta sana, jak go będzie więcej.

Ale nigdy nie było siana więcej, niż się mieściło w szopie na dole, i tylko drzwi strychu pozostawały otwarte i przymocowane haczykiem, żeby się suszył po zimowych zaciekach, więc nasze plemię miało dostęp wolny. Dlatego co roku nasze żony obierały ten strych na swoją kolonię macierzyńską. Gospodarz odstawiał drabinę i dopiero w listopadzie, kiedy nas tam już dawno nie było, zdobywał się na to, żeby



przystawić ją z powrotem i zamknąć strych na zimę. Koty miały na ten temat własne zdanie: wołałyby na strychu siano, byłoby mniej przeciągów, a do dachu bliżej. Tylko że wtedy nas by tam w ogóle nie było.

Krótkie są noce czerwcowe, ale o pożywie nie wtedy łatwo. Jeszcze przed świtem zaczął się powrót matek: pierwsza wpłynęła, sygnalizując swoją trasę echolokacją i spośród cichego popiskiwania całej czeredy wyłowiła nieomylnie głos własnego malca. Ich powitanie pobudziło resztę do tym głośniejszego wołania:

– Mamo! Mamo!

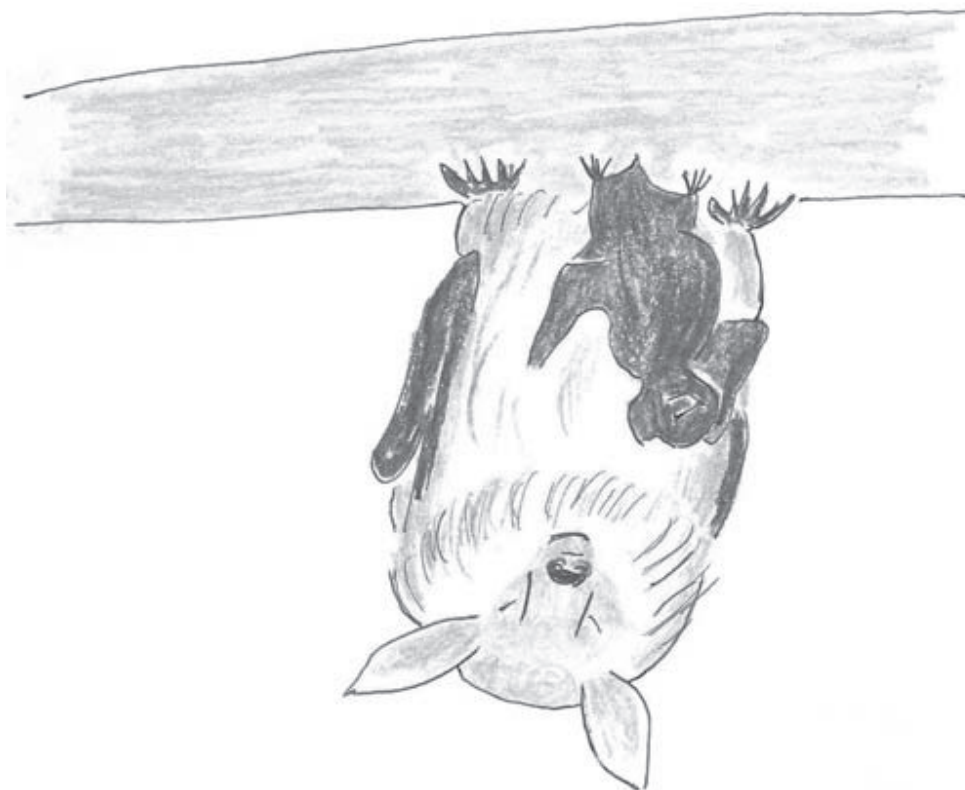
I już właśnie nadlatywały, każda syta, pełna radosnej energii i potrzeby przelania jej w dziecko. Znowu do pyszczków popłynęło mleko. Żuczek wczepił się w matczyne futro, ale natychmiast został popchnięty w bok. Pazurki znowu trafiły na drewno: nigdy nie wolno tracić uchwytu na krokwi.

Kolejna lekcja: język matki przesunął się po pyszczku i ramionach Żuczka, masując swędzące gruczoły. Rozeszło się z nich na skórę poczucie gładkości i mocy. Żuczek poruszył mięśniami i to było cudowne: skręcił się, dotknął

pyszczkiem swędzącego ramienia i stamtąd już sam naciskiem wydobył rozlewającą się na skórę tłustość. Przestał ssać (był już zresztą syty) i zajął się radośnie namaszczaniem swojej nieco przesuszanej skórki.

Druga noc była zupełnie niepodobna do pierwszej. Nikt w całej kolonii nie wisiał już jak flaczek nieruchomo: dzieciarnia przesuwiała się po krokwiach w prawo i w lewo, zatrzymując się czasem dla czyszczenia pazurkami futerka, czasem dla masażu, a czasem natrafiając na sąsiada i masując i czyszcząc bez rozróżnienia, siebie i jego. Życie było ciepłe, pulsujące i gładkie, o ile oczywiście nie liczyć krokwi, która na szczęście była szorstka. Tak szorstka, że można było przez chwilę trzymać się jej tylko jedną łapką, a drugą przesunąć, i tak na zmianę... W jedną stronę Żuczek natrafiał na gładką belkę, w którą jeszcze nie umiał się wczepić, a w drugą stronę mógł się sunąć tylko dopóty, dopóki nie trafił na równie ruchliwego kuzyna. Po paru dniach jednak nauczyli się już obaj, że można się na krokwi wyminąć. O losie tych kilkorga, które nie zdołały tego manewru wykonać

dość sprawnie, nadal żaden pozostały maluch nie mógł wiedzieć.



ZNOWU DO PYSZCZKA POPŁYNĘŁO  
MLEKO...

Beztraskie dzieciństwo, jak każdego z nas. Pierwszy niepokój i zachwyty z wiatru podpływającego pod rozczapierzone skrzydło. Dreszcz przestachu i radość rozpoznania, gdy przez pękniętą nareszcie powiekę wciska się światło, a coś, co nagle przesłoniło ten blask, okazuje się po dotknięciu rodzoną matką. Nowoodkryty po tygodniu ślepoty świat dalekich perspektyw

i głębokich cieni. I wreszcie ten pierwszy samodzielny przelot ze „swojej” krokwi na przeciwległą, kiedy pazurki pod wpływem przemożnego naglenia skrzydeł ośmieliły się wbrew całej dotychczasowej nauce puścić bezpieczny uchwyt na drewnie, i lot prosty jak strzała skończył się, gdy drogę zagrodziło inne drewno. Ale gdzie podziała się mama, która leciała przed nim? Skręciła w bok i śmieje się. Zatacza koła pod dachem i śmieje się. Więc to tak można? Zerwał się znowu do lotu, z gniewu machnął ogonem i stwierdził, że skręca także. Odkrył, że ma precyzyjny ster.

Tej nocy nie czekał już na krokwi na jej powrót, ale ćwiczył loty po całym strychu. Piszcząc z podniecenia tak, jak matka to robiła w locie, odkrył, że echo jego pisku odbija się od wszelkich napotkanych przedmiotów i wraca do niego, uprzedzając o ich bliskości. A było ich sporo, bo przecież jednocześnie z nim zaczynała już próbować lotów cała dzieciarnia i kłębiło się to wszystko w powietrzu to razem, to na zmianę, z rzadkimi przerwami na odpoczynek. Minął kolejny tydzień, zanim zdobyta podczas tych ćwiczeń umiejętność manewro-

wania w locie ośmieliła go do wychylenia nosa poza otwór rodzinnego strychu.

**S**A cztery nisze – powiedział proboszcz. – W tych nad bramą od strony jeziora chciałbym mieć postacie archaniołów, a w tych od strony wsi – apostołów. Piotr i Paweł, oczywiście. A z archaniołów niech będą Michał i Gabriel.

Pani Maryla skinęła głową.

– Jedyne problem w tym – powiedziała – żeby drzewo było wypracowane, ale nie próchniejące. Ten pień, który leży w sadzie nad jeziorem, wyglądał całkiem ładnie, ale tylko poskrobać, już się sypie. Za długo leżał bez żadnego zabezpieczenia. Pan Janek chętnie by go dał, ale już się na nic nie przyda. A mało kto i gdzie ma ściętą lipę.

– To pojedziemy do tartaku, może tam coś znajdą. Miałaby pani czas jutro?

– Chętnie. Już od tego kucia rąk nie czuję, zrobię sobie przerwę. Tylko dobrze wymierzyć nisze...

– Zaraz przyniosę drabinę.

Szli oboje przez cmentarz, obchodząc kruchtę, zakrystię i południowo-wschodni narożnik kościoła.

– Czy te nowe dreny coś pomogły?

– Zdecydowanie tak.

– Ciekawa jestem, czy to dlatego sowy się wyprowadziły.

– Sowy?

– Tu były zawsze na strychu kościelnym puszczyki. Takie z granatowymi oczami. Miały gniazdo w sygnaturce i było je często słyszeć, a w dzień czasem widać, bo sypiały w wirydarzu na gałęzi sosny, ku wielkiemu zdenerwowaniu kosa. A na strychu pełno było wypluwek...

– To już nie za moich czasów. Wypłoszył je chyba jeszcze remont sygnaturki. Właściwie to była przebudowa. Nie miałbym ochoty, żeby się wprowadziły znowu, bo podobno ludzie, jak je słyszeli, to się złościłi, że w kościele straszy. No i cały ten brud na strychu. Dlatego przez większą część roku trzymamy okna strychu zamknięte, a tylko podczas letnich upałów otwieramy dla wietrzenia. Wtedy im już za późno na budowanie gniazda...

**NARODZINY** Żuczka przypadły na okres szczególnie dla nas pomyślny. Cały lud Lotny unika spotkania z sową, ale nasze plemię ma do tego szczególne powody. Inne plemiona mogą spotkać sowę tylko w locie, kiedy nie jest straszna, bo nasze wyczulenie sygnalizuje nam ją z daleka i jest dość czasu, żeby uciec z jej drogi. Nawet nie będzie próbowała gonić... Tak więc krótkonose mopki, które wysoko nad czubkami drzew polują na ćmy, czy maciupkie mroczyki, które łowią komary zawsze tuż nad wodą, mogą spotkać się z sową jedynie w drodze do domu. My jednak znajdujemy najwięcej smaku w żukach łowionych na ziemi; a na ziemi właśnie sowa chwyta swój ulubiony przysmak, nietotne. Zginać śmiercią nietotnej, kiedy się jest lotnym, to już ostatnie dno. Nietotne byłyby do nas bardzo podobne – gdyby nie podstawowy element naszego życia: skrzydła. Ale trudno oczekiwać, żeby sowie to robiło taką różnicę, jak nam.

Kiedy więc pod koniec lata matka zaczęła zabierać Żuczka na polowanie, było to dla niej wielką ulgą w macierzyńskiej trosce, że napotkanie sowy stało się od jakiegoś czasu bardzo



mało prawdopodobne. Te, które niegdyś mieszkały w Wielkim Dachu, zostały stamtąd wypłoszone przez ludzi, a ponieważ i tak należały do leśnego gatunku, prawdopodobnie wyniosły się po prostu do lasu. Sam Yrg twierdził wprawdzie, że od czasu do czasu zalatują do wioski (i, jak zobaczymy, miało się to okazać prawdą), ale ich głosu nie słyszano już tak dawno, że trudno było nawet dzieci pouczyć, jak on brzmi. Najważniejsza lekcja była wówczas, żeby latać albo wysoko, albo bardzo nisko, lotem patrolowym; i żeby do wszelkich zarośli podlatywać z *boku*. Nawet śmierć w pazurach sowy nie jest tak okrutna, jak śmierć na łopianie. Sowa przynajmniej zabija od razu; a kto raz zahaczył skrzydłem o pazurki rzepa, ten każdym ruchem zahacza się jeszcze mocniej, i kona długo, powoli, szamocząc się bez żadnej nadziei uwolnienia. Co szczególnie istotne, łopian zabija *obojętnie*. Prawdopodobnie w ogóle o tym nie wie. Całe więc wyczulenie naszego ludu, który z daleka potrafi zlokalizować agresję, na przykład u kota czy sowy, w wypadku łopianu jest bez wartości: nie ostrzega. Tak zginął poprzedni Sam Yrg, przez błąd w nawigacji tak mały, że wąsa by się



w tę szczelinę nie dało wcisnąć, a jednak wystarczyło. Lataliśmy nad nim kołem, i nic nie można było zrobić; i nawet nie było sowy, która by go stamtąd w przelocie zdjęła i skróciła jego udrękę. Potem niektórzy mówili, że ktoś, kto tak niezgrabnie mógł zginąć, nie powinien był w ogóle zostawać Samym Yrgiem. Ale to była po prostu starość, która każdemu może zgotować jakąś niespodziankę; a myślę, że ktoś, kto wisząc na łożpianie umiał jeszcze odganiać nas, żebyśmy się także nie zaczepili, dał dowód, że do ostatniej chwili troszczy się o swoje plemię. Dlaczego Wielki Wicher pozwolił na coś takiego, to inny problem, przed którym zwisaliśmy bezradni.

**WPRAWDZIE** wieś może się już poszczyścić barem położonym przy drodze przejezdnej, z pijalnią, gdzie latem stoliki pod kolorowymi parasolami wystawione na chodnik kuszą podróżnych, ale miejscowi po staremu, byle była pogoda, wolą swoją łączkę za sklepem na uboczku. Dzadek i uejc tu pijoł, i jo tu pijom.

– Alberce, cesz taczi wesół?

– A zgadnijce, co benda hodował, to wom postawie litra.

– Te będziesz hodował! Wszetko pozdycha! Ale zgadywali: króliki, lisy, nutrie... Któryś nawet powiedział, że dziki. Nie i nie.

– Szantopierze benda hodował! A zapłaci mi Unia Europejska. Teraz wy stawiacie litra.

– Nale, pleszczesz!

Dobrze to wymyślił, żartów było co niemiara: czy mu będą płacić od sztuki, czy od kilograma, i ile ich wejdzie na kilogram; czy na Zachodzie już i szantopierze jedzą, i jak je gotują, i czym on je będzie *futrował*, i jak je będzie łapał do transportu...

– Panowie, nie przyszlibyście zrzucić piasek? – zabrzmiał nowy głos. Wikary wiedział, gdzie szukać takich, którzy przedpołudnie mają wolne. – Stawiam obiad i kawę.

– Eee, kawa... – ale kilku poszło, Albert między nimi, bo tak był zadowolony z ubitego interesu, że każdemu by nieba przychylił. Kole-dzy nadal mu nie wierzyli, chociaż wołali już na niego: *Szantopierz*. A była prawda, jak to po chwili zaczął wyjaśniać wikaremu. I wszystko przez to, że w lipcu dzieci letników wlażyły

na strych szopki i przestraszyły się nietoperzy. Ich tata coś im tam tłumaczył i zaciekał się sam: wlaź także i zaczął liczyć. Potem mówił, że tym się powinien zainteresować Światowy Fundusz Ochrony, czy coś takiego. I widocznie rzeczywiście kogoś takiego tym zainteresował, bo niedawno była u Alberta komisja, która obejrzała szopkę i stryszek. Nietoperzy tam nie było, bo już był sierpień i poleciały, ale okazało się, że zostawiły ślady. Komisja z wielkim przejęciem pobrała próbki tego, co nietoperze od lat zostawiały pod sobą – cóż, jedni letnicy zbierają grzyby, inni szantopierzowe gie. Na dole rozłożyli się z mikroskopem i na podstawie tych próbek określili, co te nietoperze jadły, a z tego z kolei zgadli, jaki to gatunek. I wyszło im, że potrzebna jest *ściśła ochrona stanowiska*. Wobec czego zaproponowali gospodarzowi, że w ramach jakiegoś projektu ochrony zwierząt, finansowanego przez Unię Europejską, będą mu płacić za utrzymywanie tej szopki w dobrym stanie, żeby nie zaciekało i dach się nie walił, a strych ma być zawsze pusty; i jeszcze osobno za to, że wykopie na swoim podwórku głęboką piwnicę, która by stała zawsze za-

mknięta, miała okno otwarte i dość grubo ziemi na daszku, żeby zimą nie było w niej mrozu, i coś tam jeszcze ma być urządzone, a wszystko po to, żeby szantopierze miały ochotę spać tam przez zimę, i oczywiście nie wolno do nich wtedy wchodzić. Dokoła ma być trawa, krótko strzyżona, żadnych tam absolutnie chaszczy, krzaków, ostów...



W WIKARYM ODEZWAŁ SIĘ TEOLOG...

Już wtedy, tego pierwszego dnia, któryś z sąsiadów rzucił, że przecież nietoperze dia-

beł stworzył, po co je chronić? W wikarym na to odezwał się teolog:

– Diabeł niczego nie stworzył, diabeł nie umie stwarzać, tylko psuć!

Pokiwali głowami grzecznie, ale swoje wiedzieli. Przecież zawsze na obrazie święty Michał ma skrzydła ptaka, a diabeł nietoperza. Ale skoro ksiądz mówi, że to nie grzech, to niechże Albert hoduje swoje szantopierze.

– Bju, Alberce, futruj swoje diachle!...

I tak się odtąd mówiło we wsi.

**MAŁO** kto zdaje sobie sprawę, jaką wielką wagę ma dla życia i kultury naszego ludu fakt, że odpoczywać mamy zwyczaj w zwisie. Nasz kuzyn, mały mroczek, który sypia w szparach, albo ten jego bliski krewny, który w lesie mieszka w dziuplach – poza snem zimowym pozostają prawie zawsze w pozycji głową do góry, jak ptaki. Widywałem wprawdzie kowalika, który penetrował korę drzewa z głową czasem do góry, a czasami w dół; ale to się nie liczy jako pozycja do myślenia, skoro ptak jest przez cały czas zajęty swoimi poszukiwaniami. My natomiast przyjmujemy tę pozycję wtedy, kiedy or-

ganizm jest już nasycony (*najpierw jeść, potem filozofować*) i kiedy płynie w nas krew odświeżona i pełnowartościowa; i wtedy właśnie kierujemy napływ tej krwi ku mózgowi. Nic dziwnego, że bogactwo naszej myśli i naszej literatury jest naprawdę zadziwiające. Uprzywilejowaną porą myślenia jest poranek, kiedy się już odpoczywa, a jeszcze nie śpi; i wtedy także mają miejsce wszelkie dysputy i konferencje, i realizowany jest cały program dydaktyczny, tradycyjnie przeznaczony dla młodzieży naszego plemienia. U mopków by się tego nie nauczyli, nie ma obawy! Każdy kolejny Sam Yrg pilnuje bardzo, żeby plemię nigdy nie zasnęło prosto z lotu. Niemniej trzeba to przyznać, że w edukacji i dziejach Żuczka ważne okazały się także przypadkowe spotkania z obcymi, nawet takimi, od których odkąd nasze plemię siebie pamięta, nigdy się niczego nie nauczyliśmy.

Pierwsze było spotkanie z jeżem. Żuczek upolował właśnie wyjątkowo smakowitego chrząszcza, wzleciał na wygodne miejsce i zabierał się do jego rozgryzania, kiedy usłyszał w oddali hałas i tupot niemalże taki, jakiego narobiłoby ciele, biegnąc po udeptanej drodze.



Coś, co z tak daleka oznajmia swoje nadejście, nie jest oczywiście groźne, ale Żuczek właśnie dlatego był ciekaw, co to takiego; najwyraźniej coś, co ani innym nie grozi, ani samo się nikogo nie boi. Upuścił więc niedojedzonego chrząszcza i frunął w dół na krzak, zawisając nisko nad ścieżką, którą to coś nadchodziło. Czekał i czekał, ale w końcu zobaczył: pyszczek podobny do naszego, tylko o wiele większy, a dalej, zamiast futra, grube kolce. Jeż zatrzymał się przy chrząszczu, obwąchał go i skrzywił się z obrzydzeniem. Zatupotał w miejscu, i nagle poskutkowało: ruszył nieco ziemię pazurkami i po chwili miał już w pyszczku dżdżownicę rosówkę. Zaczął ją zajadać z wyraźnymi oznakami zadowolenia. Żuczek nie mógł się powstrzymać od komentarza:

– Jak możesz jeść takie miękkie paskudztwo?

Jeż ma swój rozum, tyle, ile mu potrzeba – i ma swoją gramatykę.

– Ty chcieć żuk – zaczął tłumaczyć – a ja chcieć robak. Każdy mieć inny chcieć, ale wszystkie chciecie dobre.